

## Tadeusz A. Olszański\*

**Według wielu obserwatorów, polskie postrzeganie wschodnich sąsiadów Polski jest nadal zdeterminowane przez pryzmat patrzenia historycznego, w którym ważniejsze od przyszłości wzajemnych stosunków jest rozpatrywanie symbolicznych sporów historycznych (Katyń, ludobójstwo na Wołyniu, Ponary, a ze strony sąsiadów: Jeńcy z wojny polsko-bolszewickiej, czy akcja „Wisła”). Czy istnieje możliwość doprowadzenia do sytuacji, w której polskiej polityki wschodniej nie będą determinować spory historyczne?**

**W**ielu obserwatorów często się myli (zwłaszcza, że są to na ogół dziennikarze). Tak jest i tym razem. Polskie postrzeganie sąsiadów (nie tylko wschodnich, Niemiec też) nie jest „nadal”, ale coraz bardziej zdeterminowane przez historię, czy raczej – przez pamięć o historii. W znacznie większym stopniu, niż piętnaście – dwadzieścia lat temu. Nic nie zapowiada odwrócenia tego trendu. Świat wraca do myślenia o polityce w kategoriach tożsamości, a więc – hi-

storii. I jest to o tyle naturalne, że przeszłość jest konkretem, a przyszłość – nie. I nie da się sięgać w przyszłość, nie opierając się na przeszłości.

Powrót Niemców do zakazanej przez pół wieku dumy z własnych dziejów (a nie tylko z powojennej potęgi gospodarczej), odkrywanie przez Rosję prawdy o własnych dziejach, niemiłosiernie zakłamanych przez Sowiety (a zarazem – zakłamywanie ich w nowy sposób), a z drugiej strony – dyskurs postkolonialny w USA i innych krajach Zachodu, odkrywanie przemilczanych, często wstydliwych kart dziejów najnowszych (u nas – Jedwabne, ale i tragedia Kresów, we Francji – rola rządu Vichy w zagładzie Żydów, w Niemczech – los wypędzonych, na Ukrainie – Hołodomor itd., itp.). To na tym tle trzeba widzieć polskie, wciąż dość nieśmiało odwoływanie się do historii w polityce zagranicznej.

Zorientowane na przyszłość wielkie projekty ostatnich dziesięcioleci częściowo zostały zrealizowane (wejście Polski i innych krajów Europy Środkowej do NATO i UE), częściowo zbankrutowały (szybkie wciągnięcie Białorusi i Ukrainy do UE, ale też – demoliberalny projekt „jedności europejskiej”, jedną z podstaw którego był kwestionowanie znaczenia tożsamości państwowo-narodowej). Kryzys gospodarczy podważył, a w wielu kręgach zniszczył optymistyczny stosunek do przyszłości, zaś wyzwania, związane z globalizacją i imigracją znalazły odpowiedź w postaci zapotrzebowania na silną, wyrazistą tożsamość grupową (niekoniecznie narodową) i silne państwo, zdolne i skłonne do określania i obrony własnych interesów.

Polityka nie może być oderwana od stanu świadomości społecznej. Może być z nią w pewnym dysonansie (i na ogół

\* Ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, analityk problematyki ukraińskiej (tekst odzwierciedla prywatne poglądy i przemyślenia autora).

jest), ale nie może jej ignorować. Poza tym, jak pisał Bobrzyński – historia jest mistrzynią polityki; rzecz tylko w tym, by nie była to fałszywa historia. Problemem nie jest zatem to, czy uda się nam wyzwolić polską politykę wschodnią od ciężaru historii, ale – w jakim sposób ta historia będzie obecna w polityce.

**Czy nadal o Polsce możemy mówić jako „pomocie między Wschodem a Zachodem”? Czy sytuacja, nie wygląda tak, że współpraca między Unią Europejską a Rosją rozwija się bez naszego udziału?**

Polska w coraz większym stopniu jest właśnie pomostem – strefą tranzytową, a nie samodzielnym ośrodkiem pośredniczącym. Nie zdołaliśmy stać się takim ośrodkiem, którego zdanie ma znaczenie dla naszych partnerów, z którego interesami trzeba się liczyć (czy zresztą potrafimy określić nasze interesy wobec sąsiadów?). I tak już raczej zostanie. Kryzys gospodarczy spowodował reinterpretację „ducha” traktatu lizbońskiego w kierunku wzrostu znaczenia państw narodowych w ramach UE, a to znaczy, że rośnie znaczenie państw wielkich oraz układów klientystycznych, a także – że rola instytucji europejskich będzie malała, a nie rosła (choć będzie to maskowane m.in. mnożeniem biurokratycznych dyrektyw w nieistotnych sprawach). I że coraz większe znaczenie będą mieć stosunki nie Brukseli, ale Berlina i Paryża z Moskwą (z Warszawą zresztą też). W takim układzie nie ma miejsca na polskiego pośrednika, co najwyżej na „tłumacza”, dostarczyciela fachowej wiedzy o Europie Wschodniej, a i to coraz mniej, bo potencjał analityczno-eksperscki mocarstw europejskich rośnie.

**Czy wybór Wiktora Janukowycza nie postawił polskiej dyplomacji w dość dziwnej sytuacji, przecież przez ostatnie lata jednoznacznie popieraliśmy środowiska (od dłuższego czasu wewnętrznie podzielone) „Pomarańczowej rewolucji”, a zwyciężył Janukowycz nie cieszący się sympatią w Polsce?**

To prawda, że w polskich kontaktach z Ukrainą w ciągu ostatnich sześciu lat (bo rzecz zaczęła się podczas kampanii prezydenckiej z 2004 r.) nastąpiło pewne „przejęcie” na korzyść obozu politycznego, związanego z Wiktorem Juszczenką i Julią Tymoszenko. To, że popieraliśmy ten obóz, a nie jego przeciwników, było naturalne, gdyż wynikało z jednego z ważnych celów polityki polskiej – przyciągnięcia naszych wschodnich sąsiadów do struktur euroatlantyckich i europejskich. Ale rzeczywiście po 2005 r. należało zapewnić większą równowagę w kontaktach politycznych, bo było jasne, że Partia Regionów pozostaje ważnym graczem politycznym, że może zdobyć władzę na Ukrainie.

Jednak stosunki polsko-ukraińskie po objęciu prezydentury przez Wiktora Janukowycza wcale nie mają się źle. Chyba nawet mają się lepiej, niż pod koniec rządów Juszczenki. Janukowycz i jego współpracownicy są pragmatykami, polityka tożsamości mało ich interesuje (nie grożą nam więc nowe zgrzyty w rodzaju nadania tytułu Bohatera Ukrainy Stepanowi Banderze), dążą też do poprawy stosunków z Rosją przy utrzymaniu dobrych stosunków z Zachodem (bardziej UE niż USA) i zależy im na poprawnych (choć nie – uprzywilejowanych) stosunkach z Polską. To nienajgorszy punkt wyjścia do budowy dobrych stosunków dwustronnych, choć musimy się

zgodzić z tym, że głównym europejskim partnerem Ukrainy będą Niemcy. Podobnie zresztą jak naszym.

**Po 1989 roku w myśli politycznej, czy też praktyce politycznej często odwoływano się do dziedzictwa II Rzeczypospolitej. Wówczas bardzo pręźnie rozwijającym się nurtem był prometeizm. Czy obecnie osoby odpowiedzialne za kreowanie polskiej polityki zagranicznej powinny sięgać do dorobku chociaż Włodzimierza Bączkowskiego czy też Instytutu Wschodniego?**

**Poza tradycjami II RP, mamy również koncepcje Jerzego Giedroycia i środowiska zgromadzonego wokół paryskiej „Kultury” (choćby Juliusz Mieroszewski), czy polska dyplomacja czerpie z dorobku intelektualnego tego środowiska?**

W polskiej polityce wschodniej ostatniego dwudziestolecia odwoływano się nie tyle do dziedzictwa II Rzeczypospolitej (której nie sposób ograniczyć do prometeizmu; była też tradycja endecka, i ona ma się dziś bodaj lepiej, niż piłsudczykowska), ile do powojennej kontynuacji prometeizmu – tzw. dziedzictwa Giedroycia. W efekcie politykę tę spętały klisze, skutecznie przeszkadzające zrozumieć, co się dzieje na wschodzie Europy.

Jedną z naszych wad narodowych jest lenistwo umysłowe. Raczej odwoływanie się do „autorytetów”, niż podejmowanie własnej refleksji. Wolimy wznawiać Bączkowskiego (by pozostać przy treści pytania), niż podejmować samodzielny analizę otaczającego nas świata. A także – wznawiać i czcić, ale już niekoniecznie – czytać i rozumieć. Doktryna polskiej polityki wschodniej (jeśli sło-

wo „doktryna” nie jest na wyrost) opiera się nie na lekturze analiz Juliana Mieroszewskiego i publicystyki Jerzego Giedroycia, a po drugiej stronie – prac Romana Dmowskiego i jego uczniów, ale ich publicystycznych omówień i streszczeń, zazwyczaj pobieżnych i niewiernych, często przykrawających omawiane poglądy do bieżących potrzeb politycznych. A także na przekonaniu, że to, co napisali Wielcy (nie tylko tu wymienieni), zachowuje ważność in secula saeculorum.

Tymczasem Mieroszewski, a nawet Giedroyc opisywali świat, który w międzyczasie przeminął i przewidywali świat, który się nie spełnił (choćby w tym, że upadek Związku Sowieckiego nie nastąpił w drodze rewolucji narodowych, lecz kontraktu nomenklatur). Jedno i drugie nie jest ich winą. Nasza winą jest to, że tego w porę nie dostrzegliśmy.

To lenistwo umysłowe doprowadziło do powstania nowego konceptu (bo nie koncepcji czy idei) „polityki piastowskiej”, mającej być opcją na rzecz modernizacji, zakorzenienia w Europie i włączenia polityki polskiej w główny nurt polityki europejskiej, oraz „polityki neojagiellońskiej”, utożsamianej z Giedroyciem i Mieroszewskim, a angażującej Polskę w kompleks „spraw wschodnich” kosztem relacji z Berlinem i Paryżem.

Tymczasem to Mieroszewski był zdecydowanym zwolennikiem ścisłego związania niepodległej Polski z Niemcami (wówczas nie było jeszcze opcji „europejskiej”). Rozumiał, że sama Polska nie ma i nie będzie mieć potencjału, pozwalającego jej budować Międzymorze. I to on opowiadał się za Polską zakorzenioną w Europie, nowoczesną – i dlatego aktywną na wschodzie. Innymi słowy Mieroszewski rozumiał, że Międzymorze ma szanse jedynie jako Mitteleuropa. Na-

tomiast „piastowska” wizja Polski (dzieło Dmowskiego i Gomułki) była i pozostaje wizją antyniemiecką, pośrednio – także antyeuropejską. I obiektywnie rusofilską, bo jeśli głównym historycznym wrogiem Polaków są Niemcy, ich jedynym sojusznikiem mogą być Rosjanie.

Mamy zatem poplątanie pojęć i pomieszanie języków. Minister Radosław Sikorski proponuje powrót do Mieroszewskiego, nazywając to „polityką piastowską”. Znikło z naszego języka rozróżnienie między polityką „aktywistyczną” i „pasywistyczną”. Moim zdaniem lepiej opisujące współczesny spór o polską politykę zagraniczną („aktywizm” nie godzi się na to, by Polska była wasalem jakiegokolwiek kraju, „pasywizm” akceptuje podporządkowanie zewnętrzne w imię przetrwania narodu), a także dychotomia „państwo-wy-narodowy”, która nie straciła ważności z tego powodu, że w Polsce prawie nie ma dziś mniejszości narodowych.

**Czy „polska misja na wschodzie” w dzisiejszej sytuacji geopolitycznej to tylko frazes? Czy Polska faktycznie powinna wrócić do „piastowskiej koncepcji polskiej polityki zagranicznej”?**

Nie wiem, czym mogłaby być dzisiaj „polska misja na Wschodzie”. I nie lubię tego pojęcia, kalkującego bodaj brytyjskie „brzemie białego człowieka”. Jest w nim słabo zawołowane poczucie wyższości nad naszymi wschodnimi sąsiadami, mieszające pamięć o czasach, gdy Polacy panowali nad większością ziem ukraińskich i białoruskich z progresistowskim i neoliberalnym poglądem, że jedyną

możliwą opcją dla krajów postkomunistycznych jest szlusowanie do standardów unijno-europejskich, a więc – w tym przypadku – posuwanie się drogą, którą poszła (i już przeszła) Polska.

Dziś polski autor potrafi napisać: „nie ma łatwych recept, jak zmienić sytuację na Ukrainie (...) potrzebna jest żmudna praca organiczna, mająca na celu poprawę standardów życia politycznego”. Kto ma niby poprawiać standardy życia politycznego na Ukrainie?! My? Bruksela? Tylko sama Ukraina może to zrobić; tylko wtedy będzie to cokolwiek warte. Dwadzieścia czy piętnaście lat temu polskie doświadczenia miały dla Ukrainy pewne znaczenie, zgoda. Potrzebowali wzorców, potrzebowali okien na świat. Ale ten czas minął. Niepodległa Ukraina ma już dwadzieścia lat, ma własne doświadczenia, własny dorobek, własny rytm rozwoju.

Czy to znaczy, że powinniśmy odwrócić się od Wschodu? Oczywiście, nie. Zresztą nie możemy, za wschodnią granicą nie mamy morza. Musimy prowadzić normalną politykę sąsiedzką, szanując suwerenność partnerów i zdecydowanie walczyć o własne uzasadnione interesy. To nie jest „egoizm narodowy”, to podstawowy obowiązek rządzących w demokratycznym państwie.

Ale trzeba się też pogodzić z tym, że w perspektywie podlegającej odpowiedzialnemu prognozowaniu wschodnie granice Polski i Rumunii pozostaną zewnętrznymi granicami tak UE, jak i NATO. Nawet jeśli były szanse na przesunięcie tych granic dalej na wschód (w to wątpię), dziś ich nie ma. Na długo.

